

Carlene Bauer

Droga Frances / Drogi Bernardzie

Wyobrażona korespondencja / alternatywne życie Flannery O'Connor i Roberta Lowella w książce Carlene Bauer *Frances and Bernard* (2013)

DOI: <http://dx.doi.org/10.12775/LC.2025.013>

*

Carlene Bauer (rocznik 1973) jest amerykańską pisarką i autorką wspomnień, która ukończyła studia magisterskie na prestiżowym Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa w Baltimore, w stanie Maryland. Mieszka na Brooklynie w Nowym Jorku. Specjalizowała się w tworzeniu literatury faktu. Stąd zapewne jej zainteresowanie biografiami Flannery O'Connor i Roberta Lowella, którzy rzeczywiście zetknęli się ze sobą, choć ich znajomość nie przerodziła się w zażyłość, o której opowiada tylko częściowo faktograficzna książka pt. *Frances and Bernard*. Obok *Frances and Bernard* opublikowała także książki *Not That Kind of Girl* (2010) i *Girls They Write Songs About* (2022). Jej teksty ukazują się w czasopiśmie "The Los Angeles Review of Books", "The New York Times Book Review" oraz "Elle".

*

F*rances and Bernard* to powieść epistolarna o relacji dwojga autorów, którzy poznali się podczas pobytu w domu pracy twórczej. Ona jest prowincjuską prozaiczką, on poetą i potomkiem amerykańskiej elity społecznej. Ona dorabia jako kelnerka, on wyklada na

133

1–2(51) 2025

LITTERARIA COPERNICANA

ISSNp 1899-315X

ss. 133–141



Harvardzie. Łączy ich nie tylko pobyt na stypendium, ale i wiara katolicka. Opowiadają o swoich wspomnieniach, marzeniach, czułych punktach, trudnych przeżyciach. Powoli, jak to w listach, odsłaniają po kawałku siebie. Carlene Bauer przyznaje, że inspiracją tej relacji byli Flannery O'Connor i Robert Lowell, którzy w rzeczywistości poznali się już w Iowa, ale na użytek tej fikcyjnej wymiany listów – dopiero podczas wakacyjnego wyjazdu. Nie jest to powieść stricte biograficzna, ponieważ wiele elementów z biografii O'Connor zwyczajnie się nie zgadza. Słusznie też Bauer nadała swoim bohaterom inne imiona i nazwiska: Frances Reardon i Bernard Eliot. Frances ma siostrę, straciła matkę, ale ma ojca, mieszka w Filadelfii, nie choruje. Wystarczy, by orzec, że jest raczej Frances niż Flannery. Część przemyśleń religijnych i bezpardonowość w tropieniu świętoszkowatości są jednak wspólne postaci rzeczywistej i tej wymyślonej.

Powieść Carlene Bauer ukazała się w 2013 roku i do tego czasu dostępne były tylko dwa wybory listów O'Connor: *The Habit of Being: Letters of Flannery O'Connor* (w opracowaniu Sally Fitzgerald, 1979) oraz *The Correspondence of Flannery O'Connor and the Brainard Cheneys* (w opracowaniu Ralphi Stephensa, 1986). W tym pierwszym zbiorze nazwisko Lowella pojawia się w listach skierowanych do wielu osób, ale listów do niego samego jest niewiele i nie są szczególnie serdeczne. W 2010 roku ukazała się natomiast książka *Words in Air: The Complete Correspondence Between Elizabeth Bishop and Robert Lowell*, czyli listy Roberta Lowella i innej wybitnej amerykańskiej poetki Elizabeth Bishop, z którą O'Connor również korespondowała. To właśnie zbiór listów Lowella i Bishop stał się inspiracją dla Carlene Bauer do przemyślenia relacji i wymyślenia korespondencji Lowella i O'Connor. Autorka włożyła w tę opowieść bez wątpienia wiele własnych wrażeń i doświadczeń, mniej dbając o faktografię. Miała jednak do tego prawo. Oto jak zaczyna się opowieść. Od sprawozdania z wakacyjnego wyjazdu, które Frances i Bernard składają – rzecz jasna osobno – swoim najbliższym przyjaciółom. A jak się ich relacja i opowieść skończy? Tak, jak czytelnik zechce.

15 sierpnia 1957

Najdroższa Claire!

Co u Ciebie słychać?

Oto jestem w Filadelfii, wróciłam z domu pracy twórczej. Było to dość przerażające doświadczenie, z wyjątkiem samego pisania. Skończyłam pracę nad czymś, co może się okazać szkicem powieści. Jeśli tylko uda mi się znaleźć sposób, by nadal wyciskać pieniądze z bogaczy, reszta mojego życia powinna potoczyć się bardzo pięknie!

Obawiam się jednak, że będę zmuszona zostać nauczycielką, by móc kontynuować nawyk pisania. Bogacze chyba nie uznali mnie za wystarczająco wdzięczną i prawdopodobnie nie zaproszą mnie znów do swojej doliny. No cóż.

A teraz opowiem Ci tę dość przerażającą część. Zasłużyłaś na miesiąc miodowy, ale przez cały czas, kiedy tam byłam, żałowałam, że nie mogłaś pojechać ze mną i nie mogliśmy chodzić razem na długie spacery i codziennie wymieniać opinii o innych gościach. Oto moje duchowe ćwiczenia: modliłam się, a potem w myślach rozmawiałam z Tobą o tych idiotach, niemniej najwyraźniej utalentowanych. Podczas posiłków przeważnie milczałam, a milczenie, taką miałam nadzieję, powstrzymywało innych od prób nawiązania ze mną kontaktu. Nie miałam im nic do powiedzenia, ponieważ zawsze opowiadali historie

o innych pisarzach, których znali, lub o zabawnych rzeczach, które robili w stanie upojenia alkoholowego. Opowiadali to mnie – niepijącej. Przykłady gości: dwaj poeci, chłopcy, w naszym wieku. Redaktorzy dwóch różnych magazynów literackich. Nie do odróżnienia. Ich nazwisk nie warto powtarzać. Przykładowa historia opowiedziana podczas kolacji: ci dwaj byli członkami tajnego stowarzyszenia w Yale, w którym jeden był szefem, a drugi jego zastępcą. Szef zasiadał na tronie w kolorze złota, który ukradli z wydziału teatralnego, celem przesłuchiwania potencjalnych kandydatów do stowarzyszenia. „Sodomia czy wypatroszenie”, pytał szef, a każdy, kto odpowiadał „wypatroszenie”, był przyjmowany. Apotem jeszcze ta opowieść z przyjęcia koktajlowego, które zorganizowali dla nas pierwszego wieczoru: powieściopisarka (autorka romansów historycznych – Twoja matka pewnie je czytała. Widziałam je pochłaniane na przemian z orzeszkami ziemnymi w pociągach). Zostałam jej przedstawiona jako koleżanka-powieściopisarka i to było jedyne, co chciała o mnie wiedzieć, ponieważ rozpoczęła monolog, w którym szczegółowo opisała swój napięty harmonogram czytania i wykładów; trudności w pogodzeniu tego harmonogramu z pisaniem; nieskończoną cierpliwość jej męża, dyrektora ds. reklamy, który nigdy nie ma nic przeciwko wykorzystywaniu swojego urlopu na podróże do Szkocji, Irlandii i Francji, gdzie ona zbiera materiały; nieskończoną cierpliwość jej drogiego, cudownego redaktora, który zawsze odbiera telefon, gdy trzeba ją wyprowadzić z impasu, co nie zdarza się często. „Bogu dzięki, jestem pisarką instynktowną. Słowa płyną z moich wnętrzności niczym powódź. Nie mogę ich powstrzymać. Zwykle potrzebuję około trzech tygodni na napisanie sześciuset stron, które następnie skracam do –”. Tak bardzo chciałam jej powiedzieć, jak ta egocentryczna przemowa działała na moje wnętrzności. Czasami nie ma lepszej odpowiedzi w takich chwilach niż rozpaczliwe błaganie: Jezu Chryste! Źle czułabym się przyzywając imię Pana Boga nadaremno, jednak zdaje mi się, że o wiele bardziej obraża go arogancja, która prowokuje mnie do tego błagania. Pewnie jest też urażony moją goryczą, ale – instynktowna pisarka – dobry Boże! Claire, proszę, nie pozwól mi nigdy opisywać siebie albo mojej pracy z takim zadęciem. Samouwielbienie, które napędza tak wielu – nigdy się z nim nie pogodzę. To jak jazda po pijanemu. Chociaż ci ludzie nigdy nikogo nie zabijają – po prostu oślepiają wszystkich, dopóki nie utworzą sobie drogi do dochodowej przeciętności.

Przy kilku okazjach, kiedy odzywałam się na tych spotkaniach, patrzono na mnie jak na trzyletnie dziecko, które podeszło, sięgając im do łokci, otworzyło usta i zaczęło mówić płynnie po francusku. Podobało mi się to. Cisza, wygnanie, przebiegłość.

Był tam jednak jeden młody człowiek, któremu warto było się przyjrzeć. Bernard Elliot. Harvard. Potomek purytanów, tak twierdzi. Jeszcze jeden poeta. Ale bardzo dobry. Chyba powinnam powiedzieć, że więcej niż bardzo dobry. Świetny? Nie wiem nic o poezji, poza tym, że albo ją lubię, albo nie. A jego lubię bardzo. Słyszę Johna Donne’a w tych wierszach – Johna Donne’a grasującego w kotłowni, krzyczącego, walącego w rury kłuczami, próbującego zmusić tego młodego człowieka do poluzowania wersów i przecięcia wiersza na pół. Pewnego dnia zjedliśmy razem lunch – powiedział, że zaprosił mnie na lunch, ponieważ zauważył, że czytam książkę Etienne’a Gilsona. Nawrócił się kilka lat temu. Marszczę brwi: jeśli purytanin nawraca się na Rzym to może być oznaka urojenia wielkości. Podczas lunchu powiedział zdumiewającą rzecz. Zapytał mnie, czy mam konkurenta do ręki – tak się wyraził – a ja odpowiedziałam, że nie. Byłam przekonana, że zapytał tylko po to, by rozpocząć rozmowę. Potem, po przerwie, kiedy wytrząsałam keczup na frytki,

powiedział, z twarzą w dłoniach, jakby mówił do mnie przez sen: „Myślę, że mężczyźni mają skłonność do niszczenia tego, co piękne”. Chciało mi się śmiać. Nie mogłam odgadnąć, jakiego rodzaju odpowiedzi oczekiwał – próbował ustalić, czy jestem dziewczyną, która ma doświadczenie z tego rodzaju niszczeniem i która chętnie wysłuchałaby wyznania o jego własnych wyczynach w tym zakresie, czy też zastawiał pułapkę, aby sprawdzić, ile niszczenia z jego strony byłabym gotowa znieść? Zamiast odpowiadać zapytałam go, czy chce keczup. „Właściwie to tak, dzięki”, powiedział, a potem, potrząsając keczupem nad własnymi frytkami: „Byłaś kiedyś we Włoszech?”. Zapytał, czy mógłby do mnie napisać, kiedy tam będzie. Polubiłam go. Choć wydaje mi się, że pochodzi z bogatej rodziny i w wieku dwudziestu pięciu lat przeczytał więcej, niż ja przeczytałam do śmierci, wydał mi się cudownie wolny od pretensjonalności. Jeśli pominąć górnolotne stwierdzenia na temat romansowania.

Opowiedz mi o Paryżu. Pozdrów Billa. Kiedy mogę Cię odwiedzić w Chicago?

Całuję,
Frances

20 sierpnia 1957

Drogi Tedzie!

Pakuję się i wyruszam do Włoch. Szkoda, że nie będę miał okazji Cię zobaczyć, zanim wyjadę, a Ty wrócisz z Maine. Pozdrów ode mnie swoich rodziców. Czy w końcu uda Ci się zdobyć względy córki poławiacza homarów? Coś mi się zdaje, że podejmujesz ten wysiłek tylko po to, by wpleść o tym wers w ostatnią balladę Teda McCoya, a Twój synowie i wnuki mieli coś, do czego mogliby aspirować. Pochwalam. To niczym złapanie syrenki.

Cholerny wstyd, że nie przyjeźli Cię do domu pracy twórczej. Mówiłem to już wcześniej i tam jeszcze raz to powiedziałem. W tym rozdaniu wszystkie miejsca dla prozaików postanowili dać kobietom. I wszyscy, których tam spotkałem byli kompletnymi miernotami. Była tam jedna żwawa pani ubierająca się w kimono, w typie Katherine Mansfield, z którą można było poflirtować, ale nie była wystarczająco inteligentna, by bardziej się angażować. Tym lepiej. Nie pamiętała mojego imienia aż do drugiego tygodnia naszego pobytu. Zwracała się do mnie imieniem Anton. „Przepraszam, przypominasz mi...”, ale nigdy nie powiedziała, kim był ten Anton. Chciałem wiedzieć! Starła się sprawiać wrażenie tajemniczkiej, ale w rzeczywistości zamiast tego robiła wrażenie roztargnionego imbecyla.

Poznałem dziewczynę, którą polubiłem – ale nie tak, jak myślisz. Ty też byś ją polubił. Wygląda niewinnie, jakby dorastała na farmie mlecznej, ale jest ironiczna, szybka i potrafi wbić szpikulec, więc od razu widać, że wychowała się w mieście. Filadelfia. Nazywa się Frances Reardon. Zachowywała się trochę jak Matka Przełożona. Właśnie uciekła z warsztatów literackich w Iowa. W domu pracy twórczej była jedyną prawdziwą pisarką. Jej powieść to historia zakonnic o zatwardziałym sercu, która otrzymuje stygmaty. Brzmi dziecinnie, ale powieść jest zabawna (podczas lunchu, kiedy poszła po kawę, rzuciłem okiem na kilka stron w jej torbie). Wykształcona przez mułowatych katolików mści się – ale w imię Boże. To przedziwna mieszanka kobiecości i niekobiecości – nosiła strasznie konwencjonalną białą sukienkę we wzorek z maleńkich brązowych kwiatków i kładła serwetkę na kolanach z precyzją pensjonarki, ale potem uderzyła w dno butelki keczupu w taki sposób, jakby wbijała pal. W pewnym momencie powiedziała: „Czytając wiersze

panny Emily Dickinson czuję się, jakbym dusiła się wdychając talk z puderniczki”, ale przyznała, że lubi Whitmana. „Czy to oznacza, że mam duszę włóczęgi?” – powiedziała, uśmiechając się. Bardzo czarująca, i to bez takiej intencji. To rzadkość. Jest też bardzo, bardzo dobrą pisarką. Ależ mnie rozbawiła. A przy tym jest religijna. To również nieczyste. Może spróbuję się z nią zaprzyjaźnić.

Wiem, że nie lubisz pisać listów, ale wyślij mi czasem jakąś pocztówkę.

Twój Bernard

20 września 1957

Droga Frances!

Mam nadzieję, że ten list zastanie Cię w dobrym zdrowiu i mocno acz przyjemnie zapracowaną.

Piszę z okolic Florencji we Włoszech, gdzie jeden z moich starych profesorów ma dom rodzinny. Był uprzejmy pozwolić mi w nim przebywać. Kończę tu moją książkę.

Miło wspominam rozmowy z Tobą tego lata i chciałbym je kontynuować. Jestem jednak we Włoszech, a Ty w Filadelfii. Czy zgodzisz się więc na rozmowę w formie listów?

Byłaś może kiedyś we Włoszech? We Włoszech czuję się muzykalny i leniwy. Język, który słyszę to arpeggio.

A to pytanie chciałem Ci zadać, gdy jedliśmy razem lunch: kim jest dla Ciebie Duch Święty?

Pozdrawiam,

Bernard

30 września 1957

Drogi Bernardzie!

Twój list sprawił mi wielką radość. Dziękuję za to, że do mnie napisałeś. Z przyjemnością porozmawiam z Tobą listownie.

Nigdy nie byłam we Włoszech, ale odwiedziłam Londyn, gdzie spotykałam młodych włoskich turystów tłoczących się przy głównych zabytkach miasta i rozmawiających w sposób, który przywodził mi na myśl gołębie. Wiem, że to niesprawiedliwe, ale to moje jedyne wrażenie dotyczące Włoch, zniekształcone spoglądaniem przez pryzmat starej nudnej Anglii.

Byłeś kiedyś w Filadelfii? Teraz, gdy lato chyli się ku końcowi, miasto rozmywa się w upale i wilgoci, a także w zapachu słońca wypalającego cegły domów w tej okolicy. Czuję się rozleniwiona, ale nie muzykalna. Pracuję jako kelnerka, próbując znaleźć pracę w Nowym Jorku. Taką, która pozwoli mi opłacić czynsz bez obciążania mózgu. Potrafię być nocnym Markiem i nie miałabym nic przeciwko pisaniu do późnych godzin po pracy.

Duch Święty! Bernardzie, nie marnujesz czasu. Wierzę, że jest łaską i mądrością.

Mam nadzieję, że praca dobrze Ci idzie.

Pozdrawiam,

Frances

30 października 1957

Droga Frances!

Tu też są gołębie. Włoscy chłopcy pohukują i gruchają na młode cudzoziemki przechadzające się po placach. Obie strony są nieustępliwe – chłopcy w swoim głębokim przekonaniu, że mogą kogoś w ten sposób poderwać, a dziewczyny w niepokoju i marszczeniu brwi. Obserwowanie tego widowiska sprawia mi wielką przyjemność. Ciągle mam nadzieję, że któregoś dnia jakaś dziewczyna się odwróci i przyjmie zaproszenie.

Nigdy nie byłem w Filadelfii.

Nie wierzę w marnowanie czasu, gdy spotykam kogoś, kogo chcę poznać bliżej.

Nie wiem, kim jest i co robi Duch Święty. Wynika to zapewne stąd, że późno odkryłem katolicyzm i waham się przed zgłębianiem tej tajemnicy. Protestanci odsuwają Ducha Świętego na bok – jest zbyt mistyczny, za bardzo odwraca uwagę od Ojca i Syna. Odnoszą się do Ducha Świętego z taką samą podejrzliwością, jak do świętych – przenoszenie uwagi na trzecią osobę, niezależnie od tego, czy to Duch Święty, czy święty Franciszek, jest dla nich formą bałwochwalstwa. Odwoływanie się do osoby trzeciej jest pogańskie. Czy jest on łaską i mądrością? Skąd można to wiedzieć?

Nie mówmy nigdy o pracy w tych listach. Kiedy znów Cię zobaczę, chcę porozmawiać z Tobą o pracy, ale wyobrażam sobie naszą korespondencję jako duchowy dialog.

Pozdrawiam,

Bernard

20 listopada 1957

Drogi Bernardzie!

Zgoda. Żadnych dyskusji o pracy. Też nie lubię pisać o pisaniu. Mogę o tym mówić, jeśli mnie przycisną, ale wolę milczeć. Nie chcę być odpowiedzialna za niedotrzymanie jakiejś deklaracji.

Muszę powiedzieć, że boję się przedsięwzięć określanych jako duchowe. Obawiam się – pewnie wiąże się to z niechęcią do sztuki wypowiedziania gróźb na próżno – że im bardziej ktoś wydaje się być świadomie uduchowiony, tym mniej jest taki naprawdę. Wiem, że nie o to Ci chodzi. Być może obawiam się również poglądu, że wystarczająco wytrwałe dociekanie doprowadzi do oświecenia. Myślenie, że tak się stanie może być błędne.

Dlatego też obawiam się, że nie mogę mówić o Duchu Świętym w sposób, który sprawi, że będzie on dla Ciebie widoczny lub obecny. Wierzę, że jest on radą, ponieważ tak opisał go Chrystus. Dla mnie rada oznacza, że jest on łaską i mądrością. Nigdy jednak nie doświadczyłam łaski i mądrości unoszącej się jak płomień nad moją głową, a jeśli kiedykolwiek uznam, że działałam mądrze lub otrzymałam jasną wskazówkę od Ducha Świętego, dam Ci znać. Nigdy jednak nie chcę czuć się dotknięta lub obdarowana duchowo. Ani też doświadczać Boga idącego po powierzchni moich wód. Co za ciężar! Wszystko musiałoby się wtedy równać ze strąceniem z konia przez piorun, czyż nie? Wolę żyć na poziomie, który Brytyjczycy nazywają „m u d l e”. Taki zamęt i od czasu do czasu zerknięcie w stronę czegoś, co jest w oddali i co można by nazwać jasnością, żeby nie popaść w rozpacz.

Pozdrawiam,

Frances

6 grudnia 1957

Droga Frances!

Rozumiem. Dałem się ponieść radości na myśl, że znalazłem kogoś, z kim mógłbym o tych sprawach porozmawiać.

Moim grzechem jest poetyzowanie. To widać?

Chociaż zaprzeczasz, zdaje mi się, że teraz lepiej rozumiem D. Św.

Co jest powodem Twojej rozpacz?

Włochy już mi się nie kojarzą z muzyką. Teraz wydają się zgniłe i grobowe, i cieszę się, że wyjeżdżam w przyszłym tygodniu. Nawet nie czerpię przyjemności z tego, że mój włoski jest teraz tak muzykalny, jak mój niemiecki jest użyteczny. Nie czuję już lenistwa; czuję się przygnieciony wysiłkiem. Czuję się, jakbym przenosił marmurowe płyty z jednego beznadziejnego miejsca na drugie.

Zgrzeszyłem przeciwko naszym zasadom – pisałem o pracy. Zadał mi pokutę.

Kiedy wrócę do Bostonu, będę mieszkał z Tedem, moim przyjacielem i współlokatorem z czasów studiów. Nazywam go swoim bratem. Będę prowadził parę zajęć na Harvardzie. Będę również redaktorem „Charles Review”. Nie mogę się doczekać powrotu do Bostonu. Wprawdzie nie cieszy mnie perspektywa zamieszkania znowu tak blisko rodziców, ale mam nadzieję, że zdołam poskromić ich dystygnowane filisterstwo. Wyślij mi swój następny list na adres podany na odwrocie tej kartki.

Wyślij mi też kawałek tej powieści, nad którą pracujesz. Domagam się.

Twój Bernard

15 grudnia 1957

Bernardzie!

Załączam pocztówkę przedstawiającą słynne muzeum sztuki w Filadelfii i potężną rzekę Schuylkill. Teraz już nawet nie musisz tu przyjeżdżać.

Mam nadzieję, że zadomowiłeś się w Bostonie, a Twoje marmurowe płyty znów stały się ciałem i ożyły.

O nie, nad niczym nie rozpaczam. Przynajmniej na razie. To taka hiperbola. Gdybym rozpaczała, pewnie bym Ci o tym nie powiedziała, z uwagi na Twoje i moje dobro! I na miłość Boską. Gdybym opisywała swoją rozpacz, poetyzowałbym i ją usprawiedliwiał. A przecież nie jestem Dostojewskim.

Nie wyślę Ci fragmentów powieści – jest jeszcze w prosku. Ale pochlebia mi to, że w ogóle chcesz ją zobaczyć.

Pokuty to zakres działania Boga, nie mój. Zamiast tego życzę Ci wesołych Świąt. Miłości, szczęścia i radosnego kolędowania.

Pozdrawiam,

Frances

1 stycznia 1958

Droga Frances!

Szczęśliwego Nowego Roku! To już 1958. Robi Ci to jakąś różnicę?

Złożyłem książkę. Teraz jestem w tym strasznym okresie między jednym a drugim porodem. Czekam na zamówienia z redakcji, przemierzam pokój niczym Hamlet czekający na pojawienie się ducha ojca. Zacząłem wprawdzie pisać wiersze, które być może wejdą do następnej książki, ale jakoś nie mogę całkiem rzucić się w ich wir. Te wiersze to banda nieposłusznych dzieciaków, które zmierzyły ojca wzrokiem i uznały, że jest beznadziejny. Temu niepokojowi zaradzić może tylko rozmowa i picie. Albo boks. Kiedy byłem na Harvardzie, poszedłem kilka razy na salę treningową z myślą o powrocie do boksowania, ale szybko porzuciłem ten plan. „Zapomniałeś majtek?” powiedział do mnie kiedyś pewien dżentelmen podczas sparingu. Znokautowałem go i nigdy tam nie wróciłem. Wiedziałem, że sam siebie też tak bym potraktował, gdybym był stałym bywalcem i zobaczył to moje „ja” – więź z kości słoniowej całą w bluszczach – wstępującą w ich progi. Gdybym nie prowadził zajęć za parę dni, a ciągle o tym zapominam, zapewne wsiadłbym do autobusu lub samolotu i miał nadzieję, że ożywi mnie zagraniczny kontekst. Myślałem, że zmęczyły mnie Włochy, ale teraz – w zimnym, bezbarwnym Bostonie, gdzie chmury są jak rany, po przygnębiającej kolacji z rodzicami, którzy przypominają muzealne eksponaty, unieruchomione poczuciem bezpieczeństwa – chciałbym być znowu tam, gdzie historia wisi w powietrzu jak zapach kadzidła po mszy, wciąż żywa, gdzie za każdym rogiem czai się duchowa lub architektoniczna rozkosz.

A oto i rozkosz: perspektywa lepszego poznania Ciebie. W tym celu:

Frances, gdzie byłaś jeszcze na świecie oprócz Londynu?

Dokąd chciałabyś pojechać?

Czy czytałaś coś, co Ci się szczególnie podobało? Coś, co wzbudziło odrazę?

Jakie jest twoje imię z bierzmowania i skąd się wzięło?

Ewangelie czy Paweł?

A może to złe pytanie?

Raj utracony czy *Boska komedia*? A może ani jedno, ani drugie, a zamiast tego cały Szekspir?

A może to całkowicie niestosowne pytanie?

James Baldwin (powiedz, że tak)?

Plotkowanie – w hierarchii grzechów umieściłbym je o stopień lub dwa niżej od grzechów lekkich, a Ty?

Komu najbardziej chciałaś dosypać trucizny do jedzenia w domu pracy twórczej?

Czy kiedykolwiek wysłałaś list, a potem tego żałowałaś?

Och, nie zaprzataj sobie głowy tymi pytaniami i powiedz mi coś, czego o Tobie nie wiem i w co nie mógłbym uwierzyć.

Twój Bernard

10 stycznia 1958

Drogi Bernardzie!

Chociaż sama nie złożyłam jeszcze książki u wydawcy, mam wrażenie, że doświadczyłabym czegoś bardzo podobnego. Gdy kończył się rok akademicki, przez dobre dwa tygodnie żyłam w przeświadczeniu, że bez jakiegoś egzaminu albo pracy pisemnej

do złożenia, nie mam po co żyć. Dostaję egzystencjalnych drgawek – przypominam jedną z tych metalowych, nakręcanych zabawek, które wirują w kółko, aż się w końcu wyczerpią i przewrócą. Kiedy moje egzystencjalne wstrząsy ustępują – stopniowo dociera do mnie, że nikt nie zadzwoni z przypomnieniem, że w następny czwartek mam złożyć dwudziestostronicową pracę zaliczeniową – mogę z czystym sumieniem jechać na plażę w Jersey.

A kogo ty chciałeś otruć w domu pracy twórczej?

Coś, czego o mnie nie wiesz i w co nie mógłbyś uwierzyć? Hmmm. Chyba nie znamy się na tyle długo, by odgadnąć, co w naszych charakterach okazałoby się sprzeczne! Hmmm. Może nie uwierzysz w to, że dzieci mnie lubią, ale tak jest. Albo w to, że nieustannie słucham płyty *Ella and Louis Again*, odkąd dostałam ją na Gwiazdkę. Nie czuję się na siłach, by dyskutować o tym, co kocham w tej płycie – jestem nienowoczesna i nic nie wiem o muzyce – ale jest coś w dolnym rejestrze jej głosu, co sprawia, że czuję się, jakby mnie unosił ocean w kolorze północy.

Zdaje się, że pisanie listów do poety ma na mnie wpływ i to niezbyt dobry.

I jeszcze coś. W dzieciństwie podkochiwałam się w Carym Grancie. Nie byłam typem dziewczyny, która podkochiwała się w gwiazdach kina – to moja siostra miała oprawione zdjęcie Tyrone’a Powera na swojej komodzie. Ale Grant wydawał się raczej kimś z powieści niż stworzeniem skleconym w studiu filmowym. Dlaczego? Jest wyrafinowany, ale też nie całkiem poważny, przy czym brak powagi nigdy nie umniejsza jego wyrafinowania. Cóż, nie powinnam kłamać. Wciąż podkochuję się w Carym Grancie. On jest spoiwem moich relacji z ciocią Peggy, która mawia na głos zza gazety, jakby chciała zaprosić wszystkich w pokoju, a nie tylko mnie: „W Ritzu grają *An Affair to Remember* [1957, *Niezapomniany romans*]”, ja odpowiadam z udawaną nonszalancją zza mojej książki, „O której?”, a potem obie wybiegamy z domu jak wielbiciele, którym powiedziano, że Grant będzie tam we własnej osobie.

I Ewangelie, i Paweł; Ewangelie, ponieważ pokazują, że Bóg wierzy w naszą wyobraźnię, a Paweł, ponieważ najczęściej jesteśmy zbyt głupi, by z niej korzystać.

No to się dowiedziałeś o mnie więcej niż trzeba. Proszę, napisz wkrótce.

Pozdrawiam,

Frances

Copyright © Carlene Bauer 2015

Przekład: Mirosława Buchholtz